



PRÓBY

ŻYWIŁÓW



LYNETTE NONI

THE PRISON  
HEALER

TOM I

PRÓBY ŻYWIOŁÓW



**must read**

*Tłumaczyli  
Małgorzata Hesko-Kotodzińska  
i Piotr Budkiewicz*

Tytuł oryginału **THE PRISON HEALER**

Copyright © 2021 by Lynette Noni  
Copyright © 2024 for the Polish translation by  
Media Rodzina Sp. z o.o.

Map art © 2021 by Francesca Baerald  
Cover design by Jim Tierney  
Opracowanie polskiej wersji okładki i map, skład i łamanie  
Radosław Stępnik |  SISLY studio.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-524-7

Must Read jest imprintem wydawnictwa  
Media Rodzina Sp. z o.o.  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 50  
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.  
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,  
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury.  
Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki  
legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie.  
Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów  
i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

Dla Sarah J. Mass

Dziękuję Ci za Twoją szczerą przyjaźń,  
wsparcie i słowa zachęty. Przede wszystkim  
jednak dziękuję, że we mnie wierzyłaś, nawet wtedy –  
zwłaszcza wtedy – kiedy ja w siebie wątpiłam.



## PROLOG

Śmierć przybyła o zmierzchu.

Dziewczynka i jej młodszy brat zbierali borkówki nad rzeką, a ojciec dzieci przykucnął na brzegu lodowatej wody, żeby uzupełnić zapas liści aloesu. Potrzebował na później kojącego żelu do opatrzenia pozostawionych przez ostre kolce licznych ran na ciele córki. Ona jednak prawie nie czuła bólu, bo jej myśli zaprzętała kolacja. Mama robiła najlepszy dżem borkówkowy w całym Wenderallu, a ponieważ srebrzyste owoce były najśodsze tuż po wschodzie księżyca, ten zbiór zapowiadał się po prostu wyśmienicie. Dziewczynka żałowała jedynie, że nie radzi sobie z upilnowaniem brata, który garściami wpychał borkówki do ust. Gdyby nie to, już wkrótce mogłaby zgromadzić wystarczająco dużo, żeby ucieszyć mamę efektami swojej pracy.

Koszyk był w połowie pełny, kiedy pierwszy krzyk przeszył nocne powietrze.

Dzieci zamarły. Chłopiec rozchylił wysmarowane srebrzystym sokiem usta, dziewczynka z niepokojem zmarszczyła brwi. Spojrzenie jej szmaragdowych oczu powędrowało do ojca, który stał nad zimowym strumieniem z dużym pękiem omszałych liści aloesu w dłoni. Nie patrzył na to, co zebrał, skupił całą uwagę na małym domu na wzgórzu. Krew odpłynęła z jego twarzy.

– Tato, co to...

– Cicho, Kerrin – przerwał synowi, po czym upuścił lecznicze liście i podszedł szybkim krokiem do dzieci. – Pewnie Zuleeka i Torell tylko się wygłupiają, ale i tak powinniśmy sprawdzić...

Cokolwiek chciał dodać o ich starszym rodzeństwie, uwięzło mu w gardle, gdy na wzniesieniu rozległ się drugi krzyk, a zaraz potem głuchy huk.

– Tato... – odezwała się dziewczynka i podskoczyła, kiedy wyrwał koszyk z jej dłoni.

Borkówki pofrunęły na wszystkie strony, a ojciec mocno zacisnął rękę na jej palcach. Nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż w tej samej chwili usłyszała przenikliwy krzyk matki:

– UCIEKAJ, FARAN! UCIEKAJ!

Uścisk ojca sprawiał jej ból. Było za późno na ucieczkę. Żołnierze z uniesionymi mieczami wysypywali się z domu, a ich broje połyskiwały srebrzyście w słabym blasku księżyca.

Zjawiło się ich kilkunastu.

Aż tyłu.

Zbyt wielu...

Dziewczynka wsunęła rękę w kolczaste krzewy i złapała brata za drżącą, lepką od soku dłoń. Nie mieli dokąd uciec, znaleźli się w pułapce. Za ich plecami płynęła lodowata rzeka, zbyt rwąca i głęboka, żeby zaryzykować przeprawę.

– Wszystko w porządku – powiedział ojciec drżącym głosem, patrząc na nadchodzących mężczyzn. – Wszystko będzie dobrze.

Wtedy żołnierze ich otoczyli.



DZIESIĘĆ  
LAT  
PÓŹNIEJ



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiva Meridan spojrzała na chłopca przywiązanego do metalowej łąwy, pochyliła się i szepnęła:

– Weź głęboki oddech.

Zanim zdążył choćby mrugnąć, złapała go za nadgarstek i wbiła czubek rozgrzanego do białości skalpela w grzbiet jego dłoni. Chłopiec wrzasnął i zaczął się rzucać – tak jak wszyscy – ale zacisnęła palce jeszcze mocniej, wyrzynając mu w ciele trzy głębokie kreski, tworzące literę Z.

Ta jedna litera oznaczała, że trafił do więzienia Zalindov.

Rany się goiły, lecz blizny pozostawały na zawsze.

Kiva pracowała błyskawicznie, a kiedy wycięła znak, puściła rękę chłopca. Chciała mu powiedzieć, że najgorsze ma już za sobą, ale ugryzła się w język. Był nastolatkiem i umiał odróżnić prawdę od kłamstwa. Utknął w Zalindovie na dobre, a z oznakowania na metalowej bransolecie na jego nadgarstku wynikało, że został więźniem numer H67L129. Nie czekało go nic dobrego, więc kłamstwa nie miały sensu.

Posmarowała krwawiącą ranę sokiem z życicy, żeby zapobiec zakażeniu, po czym przyprószyła ją popiołem z żywca na złagodzenie bólu. Na koniec owinęła dłoń chłopca płócienną szmatką i kazała mu nie brudzić i nie moczyć opatrunku przez następne trzy dni – co oczywiście było niemożliwe,

jeśli więzień miał trafić do pracy w tunelach, na farmie albo w kamieniołomie.

– Nie ruszaj się, już prawie skończyłam – powiedziała.

Odłożyła skalpel i sięgnęła po nożyce, porzdewiałe, ale dość ostre, żeby przeciąć stal.

Pobladły chłopiec dygotał, a jego źrenice rozszerzyły się ze strachu.

Nie starała się podnieść go na duchu, świadoma, że w progu stoi uzbrojona kobieta i obserwuje każdy jej ruch. Kiva zazwyczaj mogła korzystać z odrobiny swobody i nie musiała pracować pod czujnym, zimnym okiem strażników, którzy wywierali na nią dodatkową presję. W zeszłym tygodniu doszło jednak do buntu i teraz wszyscy z napięciem patrzyli sobie na ręce. Pod lupę trafili nawet tacy jak Kiva, uznawani za lojalnych wobec naczelnika Zalindovu i traktowani przez współwięźniów jak zdrajcy, informatorzy i szpicle.

Nikt nie nienawidził Kivy bardziej niż ona sama, lecz nie żałowała swoich wyborów, bez względu na cenę, jaką przyszło jej za nie zapłacić.

Ignorując pojękiwania chłopca, podeszła do jego głowy i zabrała się do strzyżenia włosów krótkimi, nerwowymi cięciami. Przypomniła sobie, jak dziesięć lat wcześniej trafiła do Zalindovu i jak poniżona się czuła, gdy rozebrano ją do naga, wyszorowano i ostrzyżono. Opuściła lecznicę z otartą skórą, ogolona na zero, w szorstkiej szarej tunice i spodniach do kompletu. Niczego więcej nie miała. Doświadczyła w Zalindovie wielu okropności, ale upokorzenie w pierwszych godzinach było jednym z jej najgorszych wspomnień. Na myśl o tym poczuła ból w bliźnie po cięciu i mimowolnie opuściła wzrok na swoją bransoletę. Wygrawerowany w metalu numer identyfikacyjny N18K442 nieustannie przypominał Kivie,

że jest nikim i niczym i że niestosowne słowa, zachowanie lub choćby rzut oka na niewłaściwego człowieka w niewłaściwym czasie mogły oznaczać dla niej wyrok śmierci.

Zalindov nie okazywał litości nikomu, nawet niewinnym.

Zwłaszcza niewinnym.

Kiva miała zaledwie siedem lat, kiedy tu przybyła, ale okrucieństwa więziennego życia dotykały wszystkich bez względu na wiek. Lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że jej dni są policzone. Nikt nie wychodził stąd żywy. To, kiedy dołączy do niezliczonych więźniów Zalindovu, którzy zmarli wcześniej, było jedynie kwestią czasu.

Naturalnie w porównaniu do wielu innych mogła mówić o szczęściu. Ten, kogo wyznaczono do ciężkich robót, rzadko przeżywał pierwsze sześć miesięcy, a w najlepszym wypadku umierał po roku. Ona nigdy nie doświadczyła tak wyczerpującej harówki.

W pierwszych tygodniach po uwięzieniu pracowała w bloku przyjęć, segregując odzież i przedmioty osobiste odebrane nowo przybyłym. Później, kiedy kilkuset osadzonych zmarło w wyniku epidemii, trafiła na wolne stanowisko w pracowni odzieżowej, gdzie naprawiała i czyściła mundury strażników. Od nieustannego prania i szycia robiły jej się bąble na krwawiących palcach, ale w porównaniu z innymi więźniami nawet wtedy nie miała powodu do narzekań. Przerazała ją wizja naprawdę morderczej pracy, do której jej jednak nie skierowano. Po tym, jak uratowała życie cierpiącemu na zakażenie krwi strażnikowi, radząc mu, żeby zastosował taki kompres, jaki wielokrotnie przygotowywał dla pacjentów jej ojciec, trafiła na stanowisko uzdrowicielki w więziennej lecznicy. Pracował tam jeszcze jeden więzień, stracony niespełna dwa lata później za szmugiel anielskiego pyłu dla zdesperowanych współwięźniów.

Wtedy dwunastoletnia Kiva przejęła jego obowiązki. Jednym z nich było wycinanie znaku Zalindovu na skórze skazanych. Nienawidziła tego nawet teraz, ale rozumiała, że jeśli odmówi, ani ona, ani nowi więźniowie nie unikną gniewu strażników. Przekonała się o tym znacznie wcześniej, a na pamiątkę zostały jej blizny na plecach. Gdyby wtedy znalazł się ktoś, kto zdołałby przejąć jej obowiązki, zachłostano by ją na śmierć. Teraz jednak nie brakowało kandydatów na jej miejsce.

Była do zastąpienia, jak każdy w Zalindovie.

Gdy w końcu odłożyła nożyce i sięgnęła po brzytwę, włosy chłopca przedstawiały żałosny widok. Czasami wystarczyło odciąć kołtuny, ale zdarzało się, że nowi przyjeżdżali ze sfilcowanymi, zawszonymi włosami. W takich wypadkach najlepiej było całkiem ogolić głowę, nie czekając, aż małe paskudy przejdą na innych więźniów.

– Nie martw się, odrosną – powiedziała Kiva łagodnie, wspominając, jak w dniu przybycia straciła swoje kruczocharne włosy, które teraz znowu spływały jej na plecy.

Niepocieszony chłopak nadal dygotał. Było jej coraz trudniej golić mu głowę tak, żeby go przypadkiem nie skaleczyć.

Pragnęła mu powiedzieć, co go czeka po wyjściu z lecznicy, ale wiedziała, że zrobi to ktoś inny, a resztą strażniczka nawet na moment nie spuściła z nich wzroku. Nowym więźniom na kilka pierwszych dni przydzielano do pary tych z dłuższym stażem, żeby wprowadzili ich w sprawy Zalindovu, poinformowali o niebezpieczeństwach i wyjaśnili, jak przetrwać – jeśli oczywiście nowym na tym zależało. Zdarzali się bowiem tacy, którzy po uwięzieniu pragnęli jak najszybciej umrzeć. Ich nadzieja wyparowywała, zanim jeszcze przekroczyli żelazną bramę i znaleźli się za zimnymi murami z wapienia.

Kiva chciała wierzyć, że chłopak nie stracił całej woli walki. Potrzebował jej, żeby przetrwać to, co go czekało.

– Gotowe – oznajmiła, po czym stanęła przed nim z opuszczoną brzytwą. Bez włosów wyglądał młodziej: miał szeroko otwarte oczy, zapadnięte policzki i odstające uszy. – Nie było tak źle, co?

Wpatrywał się w nią tak, jakby zamierzała poderżnąć mu gardło. Przywykła do takich spojrzeń, zwłaszcza ze strony nowo przybyłych. Nie wiedzieli, że tak samo jak oni była zdana na łaskę i niełaskę strażników. Nie wątpiła, że jeśli chłopak przeżyje dostatecznie długo, znowu do niej trafi i pozna prawdę. Kiva trzymała jego stronę i była gotowa mu pomóc najlepiej, jak potrafiła, tak jak starała się pomagać innym.

– Skończyłaś? – krzyknęła strażniczka przy drzwiach.

Kiva zacisnęła dłoń na brzytwie, ale po chwili z wysiłkiem rozluźniła palce. Strażniczka nie mogła w żadnym razie zauważyć u niej oznak buntu.

Bierność i uległość – to był jej sposób na przetrwanie.

Więźniowie często kpili z niej z tego powodu, szczególnie ci, którzy nigdy nie potrzebowali jej opieki. Ten i ów nazywał ją zalindovską zdzirą. „Rzeźniczka bez serca”, syczeli inni, gdy ich mijala, ale chyba najgorszym wyzwiskiem była „księżniczka śmierci”. Nie mogła ich winić za to, że tak ją postrzegali i dlatego tak bardzo nienawidziła tej obelgi. Prawdę mówiąc, więźniowie, którzy trafiali do lecznicy, często już z niej nie wychodzili, a winą za to obarczano Kivę.

– Uzdrowicielko? – Głos strażniczki zabrzmiał bardziej stanowczo. – Gotowe?

Kiva skinęła głową, a uzbrojona kobieta opuściła posternek przy drzwiach i weszła do środka.

Strażniczki stanowiły rzadkość w Zalindovie. Na dwudziestu mężczyzn przypadała najwyżej jedna kobieta, która i tak w krótkim czasie przenosiła się do innej służby. Ta strażniczka była nowa. Kiva dostrzegła ją po raz pierwszy zaledwie kilka dni wcześniej, ale od razu zwróciła uwagę na jej młodzieńczą twarz i bursztynowe oczy, zimne, czujne i zdystansowane. Kobieta miała skórę o dwa odcienie jaśniejszą od najczarniejszej czerni, co oznaczało, że pochodziła z Jirvy albo z Hadris. Oba królestwa słynęły z doskonale wyszkolonych wojowników. Jej włosy były przycięte tuż przy skórze, a w jednym uchu kołysał się nefrytowy kolczyk w kształcie zęba, co nie wydawało się zbyt praktyczne – ktoś mógł z łatwością go zerwać. Od strażniczki biła dyskretna pewność siebie, a pod ciemnym mundurem, składającym się ze skórzanej tuniki z długimi rękawami, spodni, rękawiczek i butów, przeżyły się żyłaste mięśnie. Nie wielu więźniów zaryzykowałoby zatarg z tą młodą kobietą, gdyż taki śmiałek zapewne trafiłby prosto do kostnicy.

Na myśl o tym Kiva przetłknęła ślinę i cofnęła się przed nadchodzącą strażniczką. Mijając chłopca, uściśniła krzepiąco jego ramię, ale natychmiast tego pożałowała, kiedy gwałtownie się wzdrygnął.

– Ja tylko... – wskazała stosik ubrań, które miał na sobie, zanim przebrał się w szarą więzienną odzież – ...zaniosę to do bloku przyjęć, do posortowania.

Tym razem to strażniczka skinęła głową, po czym wbiła spojrzenie bursztynowych oczu w chłopca.

– Idziemy – rozkazała.

Powietrze wydawało się przesiąknięte wonią jego strachu, kiedy stanął na trzęsących się nogach, podtrzymując zdrową dłońią tę okaleczoną, i ruszył za strażniczką.

Nie obejrzał się za siebie. Nikt tego nie robił.



Minęły trzy miesiące, odkąd otrzymała ostatnie wieści od rodziny. Przez trzy miesiące szperała w ubraniach nowych, niczego nieświadomych więźniów, licząc na okruchy informacji ze świata. Gdyby nie życzliwość stajennego o imieniu Raz, który z narażeniem życia przemycił dla niej listy zza murów Zalindovu, nie miałyby szansy skontaktować się z bliskimi. Zwięzłe i sporadyczne wiadomości były dla Kivy na wagę złota.

*Jesteśmy bezpieczni. Przeżyj. Przybędziemy.*

Te same i podobne słowa otuchy docierały do niej z rzadka od dziesięciu lat, zawsze, kiedy potrzebowała ich najbardziej.

*Jesteśmy bezpieczni. Przeżyj. Przybędziemy.*

Kiva zamierzała przeżyć, choć łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Nie wątpiła, że pewnego dnia bliscy po nią przybędą, tak jak obiecywali. Bez względu na to, ile razy pisali te same słowa i jak długo już czekała, wierzyła w ich zapewnienia, powtarzając je raz po raz w myślach: *Przybędziemy. Przybędziemy. Przybędziemy.*

Pewnego dnia uwolni się z Zalindovu i znowu połączy się z rodziną. Już nie będzie więźniarką.

Czekała na tę chwilę od dziesięciu lat, lecz z każdym mijającym tygodniem jej nadzieja słabła.